

A close-up photograph of a man in a white dress shirt and a woman adjusting his collar. The woman is on the left, seen from the side, with her hands on the man's collar. The man is on the right, looking towards the woman. The background is dark and textured with blue and green patterns.

MARTYNA KELLER

DIABLY HENDERSON

DIABLY NEVADY #3



Copyright ©
Martyna Keller
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Katarzyna Moch
Korekta:
Anna Adamczyk
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-790-1

MARTYNA KELLER

DIABŁY HENDERSON

DIABŁY NEVADY #3

OŚWIĘCIM 2022

PROLOG

Kobieta drgnęła, a potem poderwała głowę, słysząc stłumiony chichot.

Jej wyraz twarzy nie zmienił się nawet odrobinę na widok roześmianej Mercy Stone, stawiającej bosc stopy na drewnianych słojach wbitych w przyszczyżony trawnik. Mercy biegła przed siebie pełna beztrouski i niegasnącej euforii, nie oglądając się do tyłu, jak gdyby idący za nią w spokojnym tempie mężczyzna miał ją dogonić, a potem porwać do swojej posiadłości.

Czarnowłosa kobieta obserwowała ich z góry, stojąc nieruchomo na najwyższym stopniu schodów. Znajdowała się na wzniesieniu. Miała za sobą budynek oranżerii, a wokół siebie rzędy drzew, za którymi mogła się schować w razie potrzeby. Ale takowa wcale nie nadchodziła, więc nie obawiała się zde-maskowania. Znajdująca się kilkadziesiąt metrów od niej para była wpatrzona w siebie jak w obrazek i wyglądała na szczęśliwą, odurzona sobą. Ich widok przywodził na myśl jedno, być może naiwne, pytanie: „Czy to nie dla takich właśnie osób było zarezerwowane *długo i szczęśliwie*”?

Promienie wschodzącego słońca opadły na jej bladą cerę, gdy pokręciła głowę z bezdźwięcznym westchnieniem i wsunęła dłoń do kieszeni spodni. A potem przypomniała sobie, że to przecież nie potrwa długo. W końcu ta złamana dziewczyna należała do niej i tylko do niej. Była jej bronią. Asem w rękawie. Bezwładną marionetką, za której sznurki pociągała.

Usta kobiety mimowolnie rozciągnęły się w leniwym, pełnym zadowolenia i niejasnej satysfakcji uśmiechu. Było w nim coś demonicznego. Coś zgoła szalonego. Pewien rodzaj mrocznego

oblędu, który wciąż spaczał jej umysł i nakazywał trwać w swoim postanowieniu.

Zanim odeszła, zostawiła po sobie na murze jedyny dowód swojej obecności.

Czarna dalia zerwana poprzedniego dnia była już uschnięta.

Zwiędła tak, jak miała zwiędnąć Mercy Stone.

ROZDZIAŁ 1

Podjeżdżając sportowym mercedesem pod właściwą bramę, wzdycham ciężko. Wyciągam dłoń w stronę radia, by ściszyć rozbrzmiewającą w samochodzie piosenkę, a potem zsuwam nieco szybę i pozwalam, by strażnik przesunął czujnym wzrokiem po mojej absolutnie spokojnej twarzy. Kiedy nie wydaje się przekonany co do tego, że powinien wpuścić mnie na ogrodzony teren, ściągam z nosa okulary przeciwsłoneczne. Unoszę nieśpiesznie brew, a mężczyzna szybko doznaje olśnienia.

Wystarczy ledwie sekunda, by mnie rozpoznał. Uśmiecham się i dociskam pedał gazu.

Ethan Mayson wiele razy stwierdził, że patrząc mi w oczy, zaczyna wierzyć w to, że bazylijskowe spojrzenie wcale nie musi być jedynie jakąś beznadziejną metaforą. Bowiem moje podobno również potrafi wzbudzać dziwny niepokój.

Lubię tego faceta, myślę, wjeżdżając na teren otoczony wysokim murem z drutem kolczastym. A przynajmniej toleruję go bardziej niż na samym początku.

Mijam plac i gęsto położone budynki, aż w końcu docieram do celu. Obcasy moich butów na szpilkach, zderzające się z betonową płytą, wydają z siebie charakterystyczny stukot, kiedy wysiadam z samochodu i rozpoczynam marsz w dobrze znanym mi kierunku.

Promienie słońca znajdującego się o tej porze w zenicie smagają moje odkryte ramiona, ale przyjemne ciepło szybko zostaje zastąpione chłodem bijącym od ceglanych ścian. Schodząc po obskurnych schodach do podziemi, wypuszczam ze świstem powietrze. Inferno wita mnie już od samego progu pustymi korytarzami i tą charakterystyczną upiorną aurą.

Nie marnując czasu, ruszam w stronę windy. Odwracam się w stronę panelu, by wcisnąć odpowiedni guzik. Niewielką komórką szarpie lekko, gdy ta rusza na sam dół, prosto do sali treningowej, w której odnajduję Ethana, Asha, Gabriela oraz kilku facetów ze sztabu klubu, siedzących gdzieś za nimi i zaciekle notujących coś w tych swoich ogromnych notesach. To jednak wyhaczona przeze mnie na samym początku trójka mężczyzn ucieka spojrzeniem do mojej osoby, gdy pytam bezceremonialnie:

– Obgadaliście już wszystko?

Zasiadam na jednym ze stopni schodów prowadzących na ring. Ash, który zaciekle nad czymś myśli, w tym czasie wsuwa między wargi końcówkę ołówka, Ethan opiera wyprostowane ręce za plecami, zaś Gabriel... cóż, on nie wydaje się wcale zaangażowany.

Z tego, co wiem, wynika, że wszyscy spędzający teraz czas w podziemiach spotkali się w nich, by przedyskutować kwestię organizacji gal dla amatorów. Może dwójka Diabłów nie stawiała się tutaj dobrowolnie, a z powodu namowy Maysona, ale nie zmieniało to faktu, że zarówno Ash, jak i Gabriel musieli udobruchać go jakkolwiek za te wszystkie treningi, na których w ostatnim czasie się nie stawili, o czym ich trener dowiedział się wczoraj, gdy wrócił z podróży po klubach bokserskich w kraju.

Mój mężczyzna co prawda nie miał z tym problemu, ale sam posiadał tę zadziwiająco prawdziwą świadomość, że jego obecność tutaj na niewiele się zda. Wolał w końcu brać udział w galach, niż je organizować.

Kiedy krzyżujemy spojrzenia, dostrzegam w jego oczach figlarną iskrę, która sprawia, że gdzieś w moim podbrzuszu rozlewa się dziwna fala gorąca. Na Boga, mam już na karku dwadzieścia trzy lata, a czasami wciąż czuję się jak jakaś małolata z tym całym wachlarzem emocji, który wzbudzają we mnie drobne gesty tego gburą.

– Znaczną część – odpowiada zdawkowo Mayson, więc odwracam głowę w stronę, z której dobiega zmęczony głos. Brwi mężczyzny pozostają odrobinę ściągnięte, zaś w jego oczach wyłapuję nieznośnie znajome zmęczenie. – Najtrudniejsza do rozebrania pod względem logistycznym będzie paradoksalnie gala w Atlancie. Zawsze to finał maratonu stanowił pewne meritum i spory problem, ale tym razem to jego początek daje nam w kość.

– Z czego to wynika? – pytam zaciekawiona.

Ash wysuwa z warg końcówkę ołówka i mamrocze:

– Z faktu, że renoma nazwiska twojego kochasia to jakiś pierdolony ewenement. Właśnie dlatego wciąż musimy główkować, jak poradzić sobie z nadmiarem kibiców zainteresowanych galą w Georgii i deficytem krzeseł na trybunach w początkowo wybranej przez Inferno hali – dokańcza z nieukrywaniem przekąsem. – Nie ma innego wyjścia. Jeśli jest aż taki popyt na walkę kumpla Ethana, byłego założyciela Inferno i tego twojego mistrza świata, musimy w ostatniej chwili przed startem sprzedaży wejściówek zmienić miejsce, w którym się odbędzie. To dobre posunięcie. Sprzedamy więcej biletów.

No tak. Niedawno została ogłoszona walka Gabriela i Owena Reynoldsa, która miała odbyć się w pierwszym dniu sławnego maratonu Diabłów. Była dodatkiem i gratką dla fanów klubu, a także wabikiem dla niezdecydowanych, by oglądać całą galę.

Patrzę w stronę Gabriela, który jedynie nieśpiesznie przesuwając wzrokiem po mojej nieco rozbawionej twarzy. W grafitowych tęczówkach udaje mi się odnaleźć spokój i opanowanie. *No to oczywiste, że ten facet zostawi brudną robotę komuś, kto odwali ją za niego, pryham w duchu.*

– Co za... okropna okoliczność. – Siłę się na fałszywe współczucie.

– Rzeczywiście jego pojedynek z Owenem wywołał niezły szum – wtrąca się Ethan, a jego formalny ton przedziera się przez zalewającą podziemia ciszę. – Znaleźliśmy się w potrza-

sku. Masz rację, Ash, będziemy celować w większą arenę. Pieprzyć resztę niedopiętych spraw, ta jest priorytetowa. Maraton musimy rozpocząć we wręcz kolosalnie dużym składzie. Ta gala to fundament dla nieprzerwanej świetnej passy Diabłów oraz – spogląda na mnie wymownie – sposób na to, jak zamknąć dziób pyskатыm zołzom na galach sportowych.

Wywracam oczami, bo cóż, zrozumiałam aluzję.

– Skończ z gadaniem jak służbista – wzdycham. – I strzeleniem fochów za szczerość.

– Jesteś na moim terytorium, Mercy Stone. Pamiętaj o tym.

– Och, naprawdę? – pytam niewinnie.

Mayson bierze głęboki wdech. Po chwili jednak odzyskuje fason i zwraca się do przedstawicieli sztabu siedzących z boku:

– Jak słyszeliście, spróbujcie poszukać większej areny. Może i pozostało niewiele czasu, ale wierzę, że jakimś cudem uda wam się tego dokonać tuż przed startem sprzedaży wejściówek. Mamy dwa miesiące, by dopiąć wszystko na ostatni guzik, dlatego liczę, że wszyscy pozostaniecie zdyscyplinowani. – Ethan zerka mimochodem na zegarek.

– No jasne – odpowiada mrukliwie Ash. – Jesteśmy wolni?

– Jesteście wolni. – Potwierdza skinieniem głowy trener Diabłów.

Zarówno Price, jak i Gabriel podnoszą się ociężale. Podążam ich śladem, szybko do nich doskakując. Na odchodne rzucam jeszcze w stronę Ethana krótkie „na razie”, po czym wraz z jego zawodnikami wchodzimy do windy. Opieram plecy o ścianę i po tym, jak upewniam się, że Mayson nas nie słyszy, pytam:

– Aż tak dał wam popalić?

– Ciągłe jest coś nie tak – wyjaśnia Ash. – Chyba niczego nigdy nie żałowałam tak, jak żałuję tego, że omijałam przez ostatnie tygodnie treningi, ale, cholera, skąd mogłam wiedzieć, że kara za to będzie pomoc przy organizowaniu gal?

– Kiedyś twoje tortury się zakończą – parskam. – Spójrz na Gabriela. On wcale nie narzeka, chociaż siedzi w tym samym bagnie, co ty. – Opieram głowę na szerokim ramieniu swojego faceta, uśmiechając się drwiąco w stronę naburmuszonego Price’a.

– Też bym nie narzekał, gdybym tak naprawdę milczał przez cały dzień, a marnowanie czasu nie bolałoby tak bardzo przez brak życia towarzyskiego. – Ash krzyżuje ramiona na klatce piersiowej, na co Gabriel kręci głowę z pobłażaniem.

Jego wytatuowana ręka oplata mnie nagle niczym bluszcz.

– To, że moje jedyne towarzystwo – Gabriel patrzy na mnie sugestywnie – jest wredne jak diabli, nie oznacza, że się nie liczy – kontruje mężczyzna, a jego zachrypnięty ton jest powodem, przez który kolejna fala pobudzenia rozlewa się po moim ciele. Wystarczy ta jedna niewinna świadomość, że Gabriel jest blisko, bym poczuła się zwyczajnie bezpiecznie i dobrze.

– Od razu wredne – wzdycham teatralnie, a następnie odbijam się od ramienia Gabriela, by ruszyć w stronę wyjścia z windy. – I, hej, on ma rację. Moja obecność jest nawet cenniejsza niż wszystkie tytuły i nagrody, które zdobyłeś na ringu – zwracam się do Price’a.

Z tymi słowami odrzucam celowo długie włosy za plecy, a ich końcówki smagają w twarz Asha. Ten jedynie mruży coś niezrozumiałego pod nosem. Zostawiam jego i Gabriela w tyle i sama ruszam przodem prosto w stronę schodów prowadzących na plac. Stąpając twardo po stopniach, podrywam głowę i dostrzegam bezchmurne niebo.

Nie umyka mi jednak pytanie zadane przez Gabriela:

– Nie będziesz się spierał? – Mężczyzna zwraca się do swojego kumpla.

– Z nią? To mało opłacalne, biorąc pod uwagę ten wkurwiający tupet.

Uśmiecham się szerzej. Mija dosłownie parę minut, nim Ash w końcu odchodzi w stronę swojego samochodu. Wkładam dłoń

do niewielkiej torebki zwisającej z ramienia, ale wyciągam ją tak szybko, jak w jej wnętrzu nie odnajduję kluczyków do mercedesa.

– Chyba muszę się wrócić... – stwierdzam niechętnie.

– A to dlaczego? – Brew Gabriela unosi się leniwie.

Przechylam głowę, by skrzyżować z nim spojrzenie. Ma oczy odrobinę zmrużone przez słońce, które nie przestaje prażyć nawet na moment. Mimo wszystko szybko odnajduję w nich złowieszczą iskrę, która daje mi do myślenia. Wypuszczam ze świątem powietrze tak szybko, jak mężczyzna wyciąga z kieszeni moją zgubę.

– Masz dwie osobowości, Gabrielu. – Robię krok w jego stronę tylko po to, by stanąć tuż przed nim, zadrzeć hardo brodę i wyzywająco spojrzeć mu w oczy. – Albo zachowujesz się jak skończony gbur, albo cholerny dzieciak. Nic pomiędzy. Absolutnie nic.

Jego cwaniacki uśmiech staje się szerszy. Do przesady prowokujący.

– Albo ostrożny mąż – mruczy mi prosto w usta, które rozchylam ze zwykłego zaskoczenia. Przez chwilę wpatrujemy się w siebie w milczeniu, aż w końcu mój dowcipny facet dodaje: – Pakuj się do samochodu. Ja prowadzę.

– To kradzież. – Ramiona mi opadają.

Gabriel nie wydaje się przejęty moim wnioskiem.

– Jeszcze moment i będziesz mogła dołożyć do tego porwania.

– Jesteś bezczelny – wypalam, kiedy oplata wytatuowanymi palcami przegub mojej dłoni i zaczyna mnie ciągnąć w stronę samochodu. Ledwo udaje mi się stłumić w sobie śmiech, gdy tak po prostu otwiera drzwi do auta i bezkompromisowo sadza mnie na fotelu.

Czekając na to, jak Gabriel zasiądzie na miejscu kierowcy, odtwarzam w myślach moment, w którym mógł zabrać mi kluczyki. Na myśl przychodzi mi jedynie sytuacja w windzie, gdy uwięził mnie w uścisku swojej wścibskiej ręki.

Co za cwaniak.

– Po prostu stajesz się mniej czujna, Mercy. – Moje imię w jego ustach brzmi, jakby było owiane przeklętą drwiną. Spojrzenie, które mi posyła, jest pełne napięcia, odrobinę zaczepne, zupełnie tak, jakby ten drań wiedział, że rozpęta nim wojnę.

– Ty chyba naprawdę chcesz pożałować tego, co wydarzyło się parę dni temu. – Kręcę głową z politowaniem, podczas gdy samochód rusza z miejsca. Gabriel wyjeżdża z placu, manewrując kierownicą ze swobodą, której mogę mu pozazdrościć. Nie sprzeciwiam się, gdy czuje, że jego duża dłoń ląduje na moim udzie. Zaciska się na nim władczo, przez co czuję mrowienie przebiegające wzdłuż kręgosłupa.

Jego twarz szybko jednak poważnieje. Mężczyzna spogląda na mnie ukradkiem.

– A ty? – pyta nagle. – Czy teraz tego żałujesz?

Mrugam powoli. Przez chwilę analizuję w duchu sens jego słów. *Czy żałuję tego, że pod wpływem głupiego blanta i dziwnego impulsu pozwoliłam na to, by Gabriel utarł mi nosa, zaprowadził do kaplicy, namówił do szybkiego ślubu, a na końcu wygrał zakład, który sama wymyśliłam?* Jezu, to brzmi naprawdę kurewsko irracjonalnie.

A jednak to nie żart. Jestem jego żoną.

Co prawda absolutnie wredną i upierdliwą, ale, do diaska, żoną.

– Nie – odpowiadam szczerze. – Trochę się pospieszyliśmy, ale... nie.

– W porządku. – Gabriel kiwa głową. – Ponieważ ja też tego nie żałuję.

Wraca spojrzeniem do drogi rozpościerającej się przed nami. Już po chwili wyjeżdżamy z terenu, gdzie mieści się siedziba Inferno. Las Vegas Boulevard jest o tej porze oblegane przez turystów, ale udaje nam się sprawnie przedrzeć przez tłumy. Nic dziwnego, że w centrum gromadzi się cały tabun ludzi – pogoda jest dzisiaj anielska, biorąc pod uwagę prażące słońce, lekki wiaterek i bezchmurne niebo.

Zsuwam nieco szybę, obserwując mijane przez nas kasyna i kluby.

– Nigdy nie sądziłam, że zdobędziesz się na coś tak spontanicznego – stwierdzam po chwili ciszy, opierając łokieć na drzwiach samochodu i wplątując palce we włosy. – To, że musiałam wypłacić dzisiaj z banku pięć tysięcy dolarów, było naprawdę poniżające, wiesz?

Z niesmakiem wspominam poranną wizytę w najbliższym oddziale. Nie było nic gorszego od tej nieznośnej myśli, która dominowała i krzyczała mi w głowie: „dałaś mu załatwić się jak dziecko”. Ale, cóż, może gdy przysłała ją świadomość bycia jego żoną, czułam się z tym wszystkim odrobinę lepiej?

W końcu kochałam go taką miłością, która podobno go uszczęśliwiała.

– Możesz być pewna, że się o nie zatroszczę. – Gabriel uśmiecha się półgębkiem, co dostrzegam tak szybko, jak uchylam dotychczas przymknięte powieki i odwracam głowę.

– Kupisz sobie nowy worek treningowy na siłownię czy gry na konsolę? – ironizuję.

– Myślałem o obrączkach. Wiesz, żeby to już odhaczyć, ale skoro tak stawiasz sprawę, mogę wydać tę kasę na nowe zabawki. – Rozbawienie w jego głosie jest wręcz namacalne.

Szybko podłapuję temat:

– Tak żeby to już odhaczyć, mogą być srebrne.

Gabriel ściąga brwi. Zerka na mnie kątem oka zupełnie tak, jakby upewniał się, że nie robię sobie z niego żartów. Moja twarz wciąż pozostaje jednak spokojna, nieprzenikniona choć jedną emocją, która mogłaby utwierdzić tego faceta w przekonaniu, że moje słowa to jedynie głupi dowcip. Aż w końcu mój rozmówca wzrusza ramionami, kiwając głową w geście zgody.

– W porządku. Nie jesteś tradycyjnistką?

– Mam słabość do srebrnych błyskotek – wyznaję bez chwili zastanowienia. – Zresztą tak w ogóle... – Patrzę na swój zegarek.

– Gdybym to ja prowadziła, dotarlibyśmy do posiadłości przynajmniej siedem minut wcześniej.

– I stratowali minimum dwa znaki drogowe. Nie, dzięki.

Wydymam wargę, odpinając pas. Gabriel wjeżdża w tym czasie na teren własnej posesji, uprzednio pilotem wprawiając w ruch ciężką bramę. Kiedy znajdujemy się już na podjeździe i otacza nas jedynie gąszcz wysokich drzew, skrzek kruków dochodzący z zewnątrz oraz dźwięk gaszonego silnika, mówię zrezygnowana:

– Uch, okej. Po prostu chodź już. Miejmy to za sobą.

Z tymi słowami wysiadam z samochodu i nie czekając na Gabriela, ruszam w stronę drzwi frontowych. Rozglądając się wokół, jak zwykle widzę jedynie las otaczający zewsząd rezydencję. Mroczna aura, jaka emanuje od tej posiadłości, nawet dzisiaj, w słoneczny, bezchmurny dzień wciąż wydaje się wręcz pochłaniająca w każdym tego słowa znaczeniu.

Kiedy tylko udaje mi się otworzyć drzwi, ruszam w stronę salonu. Tam wskazuję dłonią na gotówkę leżącą na długim stole. Przywiozłam ją tutaj z samego rana. Gabriel jednak nawet nie spogląda w jej stronę. Jest nią zupełnie niezainteresowany.

– Twoja nagroda, cwaniaku. – Zakładam ręce pod biustem, opierając plecy o krawędź twardego mebla. Gabriel w tym czasie pozbywa się trzymanej w dłoni kurtki i kluczyków do samochodu. Po chwili pojawia się przede mną, dumny i wyraźnie zadowolony z faktu, że oboje potraktowaliśmy wyzwanie jak sprawę honorową.

– Nic nie powiesz? – Moja brew jakby mimowolnie się unosi.

I wtedy w oczach stojącego przede mną faceta pojawia się mrok, który sprawia, że na moment tracę oddech. Moja klatka piersiowa zastyga w bezruchu tak szybko, jak słyszę podeszwy ciężkich, wojskowych butów ścierających się z posadzką. Gabriel podchodzi do mnie powoli, zupełnie nieśpiesznie. Tak jakby testował moją wytrzymałość. Jakby sycił się chwilą oczekiwania

na moją reakcję, podczas gdy ja każdą trzymam w ryzach. Nie pozwalam, by przeniknęła przez moją twarz, zdradziła mu, jak bardzo mój umysł i ciało podatne są na jego gierki. A tak się składa, że działają na mnie jak impuls. Jak zapalnik.

Instynktownie napinam mięśnie i przełykam nagromadzoną w ustach ślinę.

– Moja nagroda wydaje się dziwnie spłoszona. – Rozbawienie, jakie dotychczas towarzyszyło mężczyźnie, zostaje zastąpione przez powagę i absolutny spokój. Jego niski, gardłowy głos przyprawia mnie o zimny dreszcz na plecach.

Zanim zdążę odetchnąć i ponownie nabrać powietrza, męski tors nagle zderza się z moim biustem. Zastygam w bezruchu, pozwalając, by Gabriel przygwoździł mnie ciężarem swoich mięśni do mebla. W pierwszej chwili przyłapuję się na tym, że zapala mi się w głowie czerwona lampka, ale w drugiej... w drugiej przypominam sobie, że to on.

To mój Gabriel.

Przepadam w jego ciemnych oczach, które uważnie skanują moją twarz. Chwila oczekiwania na następny ruch tego faceta jest jak katorga. Aż w końcu czuję, jak jego dłonie lądują na moich kolanach. Suną leniwie w górę. Podciągają materiał sukienki, a potem zaciskają się na udach. Poddaję się całkowicie znajomemu dotykowi, czując, jak zasycha mi w gardle.

To, jak intensywne jest ciepło, które bije od tego mężczyzny, i jak skupione jest jego spojrzenie, wprawia moje serce w szybsze bicie. Wystarczy dłuższa chwila i świadomość tego, że znajdujemy się blisko siebie, bym poczuła gorąco rozlewające się w miejscu między udami. Zaciskam je, co nie umyka jego uwadze.

Gabriel chwyta w dłoń moją żuchwę, przesuwając powoli kciukiem wzdłuż dolnej wargi. Intymność tego gestu wprawia mnie w stan upojenia. Upojenia tym facetem i jego dotykiem. Zacieśnia niewidzialny supeł, który zawiązuje się gdzieś w moim podbrzuszu. Opieram wyprostowane ręce za plecami, wciskając

paznokcie w twardą powierzchnię blatu. Powietrze, które wypełnia salon, nagle wydaje mi się przesadnie duszące.

– To tylko wrażenie – szepczę, nie uciekając spojrzeniem od grafitowych oczu, które z każdą sekundą ciemnieją coraz bardziej. – Nie dopowiadaj sobie za dużo.

– Wrażenie? – powtarza. – Ktoś musiał cię w końcu onieśmieszyć, Mercy.

– I niby padło na ciebie? – Parskam śmiechem, który więźnie mi gdzieś w gardle tak szybko, jak czuję sunące wzdłuż szyi zimne usta mężczyzny, jego zarost przesuwający się wzdłuż nagiego ramienia i duże dłonie badające moje drżące uda.

– Najwidoczniej padło na mnie.

Boże, ten facet kręci mnie chyba nawet bardziej, gdy mogę nazywać go swoim mężem. Nie zastanawiam się nad tym dłużej, bo dwie silne ręce podsadzają mnie tak, że ląduję tyłkiem na twardym stole. Oplatam nogami pas Gabriela, przyciągając go bliżej siebie. Przez chwilę po prostu trwamy tak w jednej pozycji. Ja uwikłana między silnymi męskimi ramionami i on uwięziony między moimi udami. Zatapiam paznokcie w jego karku. Przymykam powieki, czując ciepły oddech owiewający linię mojej szczęki.

Uśmiecham się, gdy jego usta w jednej sekundzie ocierają się o moje. Dotyk jego warg otumania moje zmysły i wyrывa z pierśsi pojedyncze westchnienie. Wypiera z głowy resztki zdrowego rozsądku. Niemal topię się pod wpływem świadomości, jak blisko znajduje się Gabriel, jak swobodnie i pieśczoćliwie traktuje każdy cał mojej skóry. Upojona jego obecnością po prostu pozwalałam mu doprowadzać się do szaleństwa.

– Jest coś jeszcze. Coś, co musi spaść na moje barki. – Niski, zachrypnięty głos Gabriela sprawia, że instynktownie mocniej splećmam kostki za jego lędźwiami. Przyciągam go do siebie, nie mogąc dłużej znieść tego całego napięcia, które mnie ogarnia.

Wytatuowane dłonie znowu wdzierają się pod moją sukienkę i tym samym wyrywają mi z piersi kolejne tchnienie. Zimne palce bezwstydnie suną wzdłuż moich ud, docierając do bioder, na których zaciskają się zaborczo.

Mrugam powoli, odnajdując iskrę czającą się w grafitowych oczach.

– Co to takiego? – pytam, oddychając ciężko.

Gabriel uśmiecha się. Wytatuowaną dłonią zaczesuje mój kosmyk włosów za ucho.

– Czy to nie tak, że ktoś w końcu musi cię uszczęśliwić, Mercy?